

magazyn

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 263 (8354) Białystok — Łomża — Suwałki, 18—19—20 listopada 1977 r. NAKŁAD: 187.295 Cena 1 zł

POSIEDZENIE
Biura Politycznego
KC PZPR

WARSZAWA (PAP) — Biuro Polityczne KC PZPR na posiedzeniu w dniu 17 bm. rozpatrzyło założenia Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego na rok 1978.

Przedstawiony plan zmierza do konsekwentnej realizacji linii VI i VII Zjazdu partii, pomimo trudniejszych warunków zewnętrznych i wewnętrznych. Zgodnie z uchwałami V i IX Plenum KC PZPR plan na 1978 r. w priorytetowy sposób

Źródło: str. 2

Przed II Konferencją Partyjną — apel BFM

Dodatkowe meble na rynek

Przewidziana w styczniu przyszłego roku II Krajowa Konferencja PZPR będzie dużym wydarzeniem w życiu partii i kraju. W oparciu o dotychczasowe rezultaty i doświadczenia realizacji Uchwał VII Zjazdu partii, Konferencja określi warunki ich pełnego wykonania i — analizując aktualną sytuację — spre-czyzuje zadania na najbliższy okres.

Z postanowień IX Plenum KC dobitnie wynika postulat, by czas dzielać nas od Krajo-wej Konferencji Partyjnej jak najlepiej wykorzystać, rozwi-ajac aktywność społeczno-produkcyjną dla poprawy efektywności gospodarowania oraz zwiększenia produkcji i dostaw towarów na rynek krajowy. Tak właśnie, to jest wzmocniona praca i wykona-niem dodatkowych zobowią-zań, postanowiła wykorzystać czas przed II Krajową Kon-ferencją PZPR załoga Biało-stockich Fabryk Mebli.

Warto podkreślić, że tempo

produkcji jest w nowym białostockim zakładzie dobre od początku jego uruchomienia, tj. od września ubiegłego ro-ku. Zakład jako pierwszy z trzech nowe wybudowanych w tym samym okresie fabryk mebli w kraju na dwa mie-sięce przed terminem doszedł do planowanej zdolności pro-dukcyjnej.

Ponad 300 pracowników pierwszej i drugiej zmiany za-ładu nr 1 BFM zebranych na masowce zobowiązało się do-datkowo wyprodukować i do-starczyć w tym roku na ry-nek 4 tys. kompletów mebli.

Wartość zobowiązań sięga 100 milionów złotych.

Zobowiązania, konsultowa-ne już wcześniej na zebra-niach grup partyjnych, orga-nizacji młodzieżowej i zwią-zkowej, są możliwie do wyko-nania zwiększonym wysiłkiem całej załogi. Do końca pierw-szej dekady przyszłego mie-sięca zakład planuje wyko-nać tegoroczne zadania pla-nowe.

Pracownicy zakładu nr 1 zebrani na masowce wystoso-wali apel wzywający załogi wszystkich zakładów pracy województwa białostockiego do podejmowania podobnych zobowiązań. Ich realizacja pozwoli na uzyskanie dodatkowych, poszukiwanych na rynku towarów, pomoże do-robek Białostocznym, który zaprezentowany zostanie na II Krajowej Konferencji Par-tyjnej. (ib)



Jesienny spław drewna na Mazurach

z trzech województw

POSIEDZENIE EGZEKUTYWY KW PZPR W ŁOMŻY

Na wczorajszym posiedzeniu Egzekutywa KW PZPR w Łomży zapoznała się z informacją na temat przebiegu pierw-szych konferencji sprawozdawczo-wyborczych w instancjach partyjnych stopnia podstawowego oraz realizacji uchwały Sekretariatu KC PZPR w sprawie pracy instancji partyj-nych z weteranami ruchu robotniczego. Trzecim ważnym te-matem obrad wczorajszej Egzekutywy była ocena stanu bez-pieczestwa i dyscypliny społecznej w województwie.

Egzekutywa pozytywnie oceniła dotychczasowy przebieg konferencji sprawozdawczo-wyborczych w instancjach pierw-

Źródło: str. 2

OGÓLNOPOLSKA
INAUGURACJA
W SUWAŁKACH

W niedzielę, 20 bm. rozpocznie się w całym kraju de-kada książki pod hasłem „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA”, organizowana już po raz jedenasty. Wprawdzie wydawnictwa o tematyce społeczno-pol-itycznej lansowane są przez cały rok i zawsze znajdują chętnych nabywców, jednak w trakcie dekady zwróco-na zostanie szczególna uwaga na ich popularyzację. Chodzi przede wszystkim o zdobycie nowych czytelników i środowisk, które dotychczas nie przejawiały większego zainteresowania tą problematyką, o pogłę-bienie wiedzy całego społeczeństwa na temat nowości z tego zakresu, o zorientowanie wszystkich w bogact-wie i różnorodności wydawnictw społeczno-politycz-nych.

Źródło: str. 2

CEL: STUDIA ALBO PRACA

Kongres Pedagogów zakończył powszechną dyskusję nad 10-letnią. Na Kongresie równocześnie wiele miejsca zajęły problemy związane z dalszą edukacją absolwentów 10-letki. Jak wiadomo, Uchwała Sejmu PRL z dnia 13.X.1973 r. wytycza bowiem dwa za-sadnicze tory tej edukacji: zróżnicowany system kształcenia zawo-dowego, tzw. studia zawodowe oraz 2-letnie szkoły specjalizacji kierunkowej.

„Ogólniak” w nowej wersji

Pierwszy tor, to praktyczny rzecz biorąc, dalsza dwuletnia szkoła ogólnokształcąca, odpowiadająca profilowi w kierunku humanistycznym, matematycznym, fizycznym itp. Ma ona zapewnić optymalne przygotowanie do podjęcia różnych kierunków studiów wyższych. Równocześnie ma być szkoła przygotowująca młodzież do podjęcia pracy w niektórych zawo-dach (po stażu specjaliza-cyjnym i adaptacyjnym w zakładach pracy) oraz dal-szego samokształcenia w różnych formach edukacji ustawicznej.

Są to najbardziej ogólne ustalenia, na przeszkodzie bardziej precyzyjnej kon-kretyzacji programu SSK stoi bowiem kilka niewia-domych. Pierwsza wynika stąd, że nie mamy jeszcze modelu zreformowanej szkoły wyższej, a wiadomo, że kształt studiów wyższych musi również ulec pewnym zmianom przede wszystkim ze względu na reformę o-swiaty oraz konieczność lepszego niż dotąd, dostoso-wania kształcenia na poziomie gospodarki narodowej.

Szkoły specjalizacji kierunkowej mają również przygotowywać, jak to się

wstępnie określa, do „nie-kórych zawodów”. Tyle ty-lko na razie wiadomo, że mają to być zawody „nie-skomplikowane” nie wyma-gające specjalnych studiów zawodowych. Ale nie wi-ado, czy będą to zawody równie „dobre” jak te po studiach zawodowych. Jeże-li nie, to kandydaci do SSK od razu swe szanse zawodo-we spiszają na straty, nastawiając się wyłącznie na wyższe studia. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że jeśli się na te studia za „pierwszym podejściem” nie dostaną, to powinni mieć w ręku jakiś fach — smętny los dzisiejszych absolwen-tów „ogólniaka” nie może się powtórzyć.

To są najgłośniejsze nie-wiadome, ich rozwiązanie będzie rzeczą wszystkich za-interesowanych, którzy wniosą zapewne swój wkład w dyskusję nad projektem Instytutu Programów Szkol-nych.

Jak na razie projekt ten dość precyzyjnie formuluje jedynie cele kształcenia i wychowania w szkołach spe-cjalizacji kierunkowej, o-raz strukturę tych szkół oraz wstępne programy kształ-cenia. Oś SSK powinny (m. in.) ułatwić uczniom



JUTRO WOLNA SOBOTA!

Nad szerokim korytem Narwi, prawie dwadzieścia kilometrów za Łomżą, rozło-żyło się KRZEWO STARE. Malowniczo to zakątek łom-żyńskiej ziemi, widoczny jak na dłoni z wierzchołka góry, gdzie teraz mieści się Zakład Usług Mechanizacyjnych, a dawniej — dwór dziedzica Pieńkowskiego. Niemal o każdej porze roku pełno tu rybaków, ale dla rolników po-łożenie wsi nie jest najszczęś-liwsze. Z jednej strony pias-kowa góra, z drugiej zaś bliskość rzeki utrudniają roz-budowę gospodarstw. Działki budowlane i ziemię nadzielo-no zanim skończyła się wojna.

Mieczysław Szymański tak wspo-mina tamte czasy. — W lutym 1945 roku, kiedy ludzie wracali z ewakuacji podjąłem się zorganizować gminę w Drozdowie, a także parcelacji dworskiej ziemi. Przez 23 dni cho-dziłem piechotą do Łomży, żeby te sprawy pozatwarzać. Przed rozpoczę-

ciem odbudowy wsi komisyjnie zro-biliśmy regulację siedlisk. Każdemu odcięta została działka o równych granicach, czy to góra, czy nie góra. We wsi wykroiliśmy 66 siedlisk, a że nie wystarczyło dla wszystkich, ponad dwudziestu gospodarzy prze-niosło się na kolonię. I tak z jednego powstały dwa Krzewa — Stare i No-we.

Wiesi powoli dźwigała się z ruin. Na miejsce pierwszych glinianych do-mów z czasem wrosły murowane, a nawet kilka piętrowych. Gospo-darze spod góry chcieli rozbudować się, najpierw wybierali piach ze swoich działek. Nie jego wywieziono na dro-gę i laski, nikt dokładnie nie zliczył: może tysięcy, a może dwa tysiące furmanek. A zaku prawie nie ma.

Droga przez wieś, przez którą przepływał strumień wody, i dalej — do Niewodowa, Drozdowa, wreszcie połączenie z Łomżą, od lat nęściło wielu kłopotów mieszkańcom. Krzewo Stare było jakby odcięte od

świata, bo poza furmanką praktycz-nie niczym innym nie można tu by-ło przejechać, ani stąd wyjechać. A ileż to razy piechotą przemierzali lu-dzie długie kilometry, żeby załatwić sprawy w mieście? Dobrze, jeśli u-dało się zabrać samochodem mleczar-skim albo innym pojazdem, który od czasu do czasu pojawiał się we wsi. A i z tymi kłopotów było co niemiła-

Częściej grzęzły w błocie, niż do-jeżdżały na miejsce. Pogotowie za-zwyczaj zatrzymywało się na począt-ku wsi, na gliniance. Listonosza ogle-dałi ludzie raz na dwa tygodnie, mi-licjanta raz na pół roku. Nieustannie dobijając się o drogie skromnie żyli z ziemi i nadnarwiańskich łąk.

gospodarze pomagali wozić żwir i piach, ściągali z okolicy ka-mienie. Wiosną 1975 roku droga była gotowa, a od czerwca za-częły kursować autobusy. Uro-czyście świętowano dzień, kiedy przyjechał do wsi pierwszy pe-kaes. Na otwarciu zebrano czte-ry tysiące złotych, a potem do białego rana trwały tańce i hu-lanki w miejscowej remizie.

Ten dzień, który długo zostanie w pamięci mieszkańców, był niejako przełomem w życiu całej wsi. Wielu zaczęło oglądać się za pracą w mie-scie i okolicy, upatrzując w tym szan-sę awansu i poprawy swojego życia. Kilkanaście osób, przeważnie mło-dych, przesyłało przedtem kursy zatrudniło się w łomżyńskiej „bawel-nie”. Pracują tam jako tkaczki, kleja-rze osnów, na bielniku, w magazy-nach, przy mierzeniu tkanin. Do Za-kładów Bawelnianych dojeżdżają między innymi: Ryszard Rutkowski, Tadeusz Olszewski, Mieczysław Ka-kolewski, Ryszard Liszewski, Barba-ra i Tadeusz Wiśniewscy. Kilka razy dziennie fabryczne autobusy zabie-rają ich i przywożą z pracy do do-mu. Inni z Krzewa znaleźli zarobek w melioracji, w pekaesie, POM-ie łączności, w przetwórnicy w Drozd-

Źródło: str. 3

Droga

Z zagranicy

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)



Zobaczyć Ermitaż...

Czy każdy przybywający choćby na dni kilka do „Wenecji Północnej” — wspaniałego miasta nad Nową, musi odwiedzić Ermitaż? — Tego typu pytanie można nader często usłyszeć wśród tłumów obiegających wejście do jednego z największych w świecie muzeów — pytanie, na które zresztą, niemal z miejsca, sam zadający je, zripostowałby komu innemu: — „A jakże to! Być w Leningradzie i nie zejść do Ermitażu?”

— W tym właśnie nasz obywatel problem niemożności pokazania wszystkiego wszystkim zwiedzającym — powie pod koniec rozmowy z grupą polskich dziennikarzy dyrektor Ermitażu, Muzeum

rzeczy właśnie z tą dziedziną sztuki. A przecież znajduje się tu bogactwo różnych eksponatów, mówiących o kulturze wszystkich cywilizacji i krajów, od epoki kamiennej do sztuki współczesnej. Z zachowaniem chronologii i geografii prezentujemy zbiory w poszczególnych dziedzinach muzeów. Oprócz galerii, Ermitaż służy też zbiorów w dziedzinach: kultury Wschodu, sztuki antycznej, archeologii, numizmatyki, ze skarbcia drogocenności sztuki jubilerskiej.

Źródła uzupełnień — to zakupy eksponatów np. na różnych międzynarodowych wystawach czy też giełdach sztuki. Własne ekspedycje archeologiczne, prowadzące prace badawcze, uwieńczone są nierzadko cennym „lupem”, np. ostatnio z wykopalisk na Syberii, Ukrainie, Białorusi i na Kaukazie. Część eksponatów pochodzi z wymiany między muzeami całego świata. Niemniej cenne są przedmioty otrzymane jako dary. Nowe nabytki Ermitażu wystawia się co roku na specjalnej wystawie.

Być w Leningradzie i nie zobaczyć Ermitażu... Rezultatem takich ambicji jest zwiedzająca się w ostatnich latach liczba zwiedzających o 120 tysięcy osób rocznie.

— Z jednej strony to satysfakcja z powodu rosnących zainteresowań sztuką, w społeczeństwie człowieka, zwłaszcza u młodzieży — mówi dyr. Suslow — z drugiej zaś, musi temu towarzyszyć ogromny wysiłek organizatorski. Chodzi o prezentację zbiorów, jak też o właściwe gospodarowanie całym naszym bezcennym doświadczeniem. Nie trudno sobie wyobrazić, jak mogą wyglądać ozdoby, również zabijające, posadzki, po których codziennie chodzi 25 tysięcy zwiedzających (bez kapci). Odtąd ochrona i nieustanna renowacja wnętrza zajmują się specjalistyczne pracownice i warsztaty, laboratorium fizykochemiczne i biologiczne a u nich — około stu specjalistów własnych i kilkuset współpracujących.

To tylko część zabiegów pozwalających należycie funkcjonować muzeum, przy tak szybko rosnących zbiorach i tak znaczącej się liczbie

ciąć dalszy ze str. 1

wie, przy stróżowaniu. Praca poza rolnictwem jest dodatkowym źródłem dochodu, bo tak naprawdę dalej wszyscy żyją z ziemi. Po powrocie do domów zakasują rękawy i zabierają się do gospodarki. W rzeczywistości Łomża widzi tylko z okien autobusów.

Dla tych, którzy nie spróbowali jeszcze życia w mieście jawi się ono jak czarodziejska bajka. Dalej wielu z Krzewa myśli gdzieś stąd odejść, jak się urządzić, byle dalej od wsi i rolnictwa.

— Ja tylko czekam, aż asfalt do Krzewa zaleje — mówi młody rolnik, IRENEUSZ OLSZEWSKI. Później może kierowcą zostanie, albo gdzieś w Łomży się zaczepi i będzie jak inni pracować osiem godzin dziennie. To tylko wina rodziców, że tu siedzą. Gdyby się nie budowali, nie byłoby tego wszystkiego zostawiać. Żeby z maszynami nie było takich kłopotów, to jeszcze pół biedy. Z trzynastu hektarów można żyć. Ale chcąc dostać w pierwszej kolejności przydział na ciągnik trzeba mieć gospodarstwo specjalistyczne, dużo hodować. A kto wszystkiemu podda, kiedy na usługi nie zawsze można liczyć. Albo weźmy rożnyki. Tu w Krzewie nie ma czego szukać. Remiza stoi pusta, ale młodzi nie mogą z niej korzystać. Kluczem rządzi komendant strażnicy.

ANTONI KALSKI też marzył o mieście. Gdy otwarto drogę, razem z innymi zaczął pracować na trzy zmiany w Zakładach Bawlnianych jako zakładacz osnów. Podobnie jak koledzy zarabiał przeciętnie trzy tysiące miesięcznie, a przeżył za to w mieście — mówi, to trzeba liczyć każdy grosz. Zrezygnował

Droga

Janina Sztachelska

ki. Zresztą, u nas we wsi prawie każdy gospodarz kontraktuje parczki, truskawki, ogórki, pomidory i inne warzywa. Poszli w ślady rolników z Drozdowa i dobrze na tym wychodzą. Postanowiłem i ja spróbować, tym bardziej, że jest na miejscu punkt skupu.

Dziwowali się niektórzy, gdy porzucił państwową posadę Kalski, a jeszcze bardziej zachodzili w głowę, kiedy wrócił na ojcowiznę WITOLD SZYMAŃSKI. Tak facha zmarnować — mówili, ale ojciec upatrzył dla niego inną zawód. Skończył technikum drzewne w Łomży, a potem przez siedem lat pracował w fabryce mebli w Głucholazach i w spółdzielni tapicarskiej w Bartoszy-

Witold, że objąłem po nich dobre gospodarstwo. Miałem dobry start, a to w życiu młodego gospodarza bardzo się liczy. Zawsze było 30-40 tuczników, kilkanaście krów, ciągnik i podstawowe maszyny. Stopniowo zwiększałem pogłowię, a za żywicie i mleko kupowałem ziemię, gdyż było tylko 12 hektarów. ornej. Wszystko po to, żeby mieć pole do produkcji własnych pasz i za mieszankami nie biegać. Teraz, gdy wszystkiego jest prawie 60 hektarów, można pójść z hodowlą pełną parą.

Ojciec przepisał na mnie część gospodarstwa i we wszystkim daje mi wolną rękę, a sam dodatkowo pracuje w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych.

WITOLD SZYMAŃSKI początkowo zamierzał nastawić się

tylko na bydło. I tak by zrobił, gdyby nie Narew, która szerokim strumieniem odcina część państwa. Jest to problem wielkości rolników z Krzewa, Kosak, Truszek i innych wsi. Za rzeką leży około trzysta hektarów łąk, praktycznie bezużytecznych, gdyż nie ma doń dojazdu.

Ludzie robią różne kombinacje, żeby choć jakiś taki mieć z nich pożytek. Łódkami przepływają się przez rzekę z nawozami, wiosną wpływają przepławiając na łąki bydło, a zabierają je jesienią. Ze zwózka siana czekają do zimy, aż Narew zamrznie. Jedynym rozwiązaniem byłby prom, ale jak dotąd wszystkie starania MIECZYSLAWA SZYMAŃSKIEGO, kierownika ZUM, nie przyniosły rezultatu.

Taka sytuacja wpłynęła na zmianę planów młodego gospodarza. Dwa lata temu Witold wraz z ojcem i siostrą, BRONISŁAWEM SZYMAŃSKIM założyli zespół owczarski. W lipcu tego roku na podwórzu Szymańskich ruszyła budowa owczarni na 200 maciorek z przychówkiem. Witold, jako kierownik zespołu robi wszystko, żeby na zimę stać owoce, licząc obecnie ponad 70 sztuk, przeprowadzić do nowego budynku. Złożył w gminie podanie o przydział 50 zarodkowych maciorek. Myśli też o tym, jak zmniejszyć owczarnię, aby obsługa zwierząt zabrała jak najmniej czasu.

Gdy rozmawiał z kolegami, którzy wyjechali do miasta — mówi — wielu zwierza się, że chętnie przełobosty się na wieś. Może to komuś wydać się dziwne, ale ja nie widzę różnicy między miastem i wsią, jeśli pracuję się z głową i nowoczesnie. Dziś nie trzeba podniecać koza, bo robią to za czołwetka maszyn. A w Łomży można być kilkanaście razy dziennie, jeśli ktoś ma na to czas i ochotę.

„Ogólniak” w nowej wersji

ciąg dalszy ze str. 1

ciśnięcie na kształtowanie właściwych postaw ideowo-moralnych wywodzących się z zasady tożsamości dobra jednostki i ogółu.

Tak sformułowany przez Instytut Programów Szkolnych program kształcenia wprowadzający młodzież do studiów wyższych sprawia, że uczeń musi mieć spory margines czasu na pracę indywidualną. W związku z tym przewiduje się, że obowiązkowy wymiar zajęć lekcyjnych w planie nauczania nie powinien przekraczać 25 godzin tygodniowo w każdej klasie.

A czego konkretnie będą się uczyć w SSK? W strukturze tych szkół wyodrębnią się następujące profile: humanistyczny, językowy obywatelski, matematyczny - fizyczny, chemiczny, biologiczny i geograficzno-ekonomiczny.

W programie kształcenia w SSK przewiduje się natomiast następujące bloki treściowe: blok przedmiotów kierunkowych dla poszczególnych profili; blok przedmiotów pomocniczych uczących posługiwania się podstawowymi technikami pracy umysłowej; blok wybranych zagadnień społeczno-kulturalnych ułatwiających rozwój kultury ogólnej i orientację w światłach

nach liceów ogólnokształcących, zawodowych i technicznych, zadaniami do nowych potrzeb oraz nowe obiekty, specjalnie dostosowane do wymagań programowo - metodycznych SSK. Szkoły Specjalizacji Kierunkowej powinny mieć nowoczesne wyposażenie, gabinety, laboratoria i stanowiska do pracy samodzielnej, jak również zaplecze biblioteczne i kulturalno-sportowe. Znaczną część szkół w dużych miastach i wszystkich szkołach terenowych powinny dysponować internatami



Konflikt Współczesny

Byłam sama

Urzędniczka, zam. w Szczecinie, ur. w 1926 r., wykształcenie niepełne średnie. Pamiętnik nr 65.

Wszystko to co napiszę, będzie „spowiedzią” — jako że każdy człowiek nawet kiedy znajduje się w swoim gorzkim granie, ma nieodpartą chęć podzielenia się swoimi doświadczeniami z innymi. Wychowałam się do 14 roku życia w Brześciu n/Bugiem. W latach wojny byłam w pociągach w Brześciu n/Bugiem. Pracowałam tam w kołchozie przez

prawie 5 lat. Reprezentuję pokolenie „Kolumbów”. Dodam — taki za mnie niedouczony sanouk. Moje to właśnie tam, w tych trudnych latach doradzałam i krzepiał politycznie, słuchając dyskusji rewolucjonistów — członków Związku Patriotów Polskich, którego sama zostałam wkrótce członkiem. Udzielił mi się ich zapał, wiara, co z czasem stało się przyczyną, że jestem „konfliktowa”. (takie określenie usłyszałam od swojej ostatniej kierowniczki).

Po powrocie do kraju w 1946 r. od razu wstąpiłam do Związku Walki Młodych i podjęłam pracę w Zarządzie Wojewódzkim ZMW w Szczecinie. W 1947 r. wstąpiłam do PPR. Na miarę swoich umiejętności i pasji wciągnęłam się czynnie w dzieło odbudowy i kształtowania nowej rzeczywistości.

W latach tzw. „stalinowskich” bywało różnie, raz gorzej, raz lepiej, jednak atmosfera tamtych dni pozostawiła mi niezatarty sentyment do tych komunistów i działaczy młodzieżowych, którzy choć nie posiadali tytułów magisterskich, mieli jednak poczucie sprawiedliwości i ofiarności.

Od 1957 roku zaczęłam pracować w turystyce. Trafiłam do grona ludzi kochających przyrodę — założyciele turystyki na Wybrzeżu byli ludźmi wielkiego serca i życiowych pasji. Dlatego też pierwsze lata upłynęły bardzo przyjemnie i dawały mi wiele osobistej satysfakcji. Pierwsze wczasy, pierwsze rajdy, pierwsze wycieczki krajoznawcze i wspaniali działacze. Nie było rozrabiactwa, podgryzania, zawiści w naszej wielkiej rodzinie.

W tym czasie pracowałam w zarządzie okręgu i, jak zwykle, poza pracą zawodową pełne zaangażowanie społeczno-polityczne. Ale czas leciał, zmieniali się ludzie. Przychodzili na miejsce analfabetów z tytułami, dyplomami, ale bez serc. (Piszę ciagle o swoim środowisku). Tytuły naukowe to jednak za mało dla tych, którym powierza się kierowanie zespołami ludzkimi.

W tym okresie skończyłam 2-letnie studium organizacji i ekonomii turystyki, organizowane pod patronatem GKKFIT. Wprawdzie podstawą przyjęcia na te studia była matura, jednak dla dłużejletnich pracowników robiono ustępstwa, skracaliśmy z tego wyjątku. Zostałam więc zobowiązana moralnie do pozostania w turystyce, co ugruntowało moje przekonanie, że właśnie tylko w takiej pracy mogę wykorzystać swój zapał, wiedzę i skromne doświadczenie.

Ale stosunki w naszym „turystycznym światku” ulegały pogorszeniu. Ludzie mianowani przez władze na stanowiska kierownicze byli bardzo ubodzy duchowo. Zaczęły się intrzyki, sprawy załatwiano przy pomocy wódki i po wódce. Moja buntowniczka i może zbyt

prostolinijna natura zaczęła się przeciwstawiać. Jest wprawdzie takie przysłowie „pokorne cięle dwie matki ssie” — ale to nie dla mnie. W czasie różnych dyskusji dotyczących przygotowania do sezonu podległych ośrodków, przyjęcia agentów do jadłodajni w sezonie, wypowiadałam głoszone swoje uwagi nie w aspekcie kto da więcej, a kto gwarantuje lepszą pracę. Poruszałam sprawy marnotrawstwa, kantów w odpisach zniszczonych przedmiotów, zmiany kierowników ośrodków wczasowych — przynęciło do mnie bardzo modne do dziś określenie „rozrabiaka”. W związku z tym po audycji u przewodniczącego WKFFIT zostałam przeniesiona do dalszej pracy (awansowana) jako kierownik hotelu WOSTIW. I tu zaczęła się moja tragedia.

W tym samym czasie mój odseścił od nas, zostawiając długą przekraczającą moje dwuletnie pobory. Zostałam z trójką dzieci i starzejącą się matką. Moja sytuacja finansowa nigdy nie była dobra, ponieważ źródłem utrzymania była i jest nadal pensja „magistracka”. Mąż przez ostatnie 10 lat leczył się na gruźlicę i otrzymywał rentę, co w zasadniczy sposób ograniczało warunki bytowe. Twierdził przy tym, że dzieci nie należy kształcić i im pomagać. Jego w 15 roku życia Niemcy wywieźli na roboty i nikt mu nie pomagał, musiał dać sobie radę. On również swoim dzieciom pomagać nie będzie.

Musiałam wybierać: albo gaz i wytrud wszystkich i siebie, albo wziąć się do roboty z kopyta i udowodnić sobie, że potrafię stworzyć rodzinie względne warunki egzystencji. Z pomocą przyszły same dzieci. Mogłam pracować spokojnie nie martwiąc się, że wagarują czy walęją się po ulicy. Były w miarę zdyscyplinowane i miały do nich zaufanie. Wiedziały, że albo będą ich pilnować, albo pracować, żeby mieć co jeść, w co się ubrać, mieć książkę i małe rozrywki, jak ich rośnięcie.

Nowa praca stworzyła mi lepsze warunki pracy, ale też zwiększyła odpowiedzialność. Hotel był w trakcie kapitalnego remontu. Planowanie, kupowanie, urządzanie, kompletowanie załogi. To pochłonięło mnie bez reszty. Pierwsze kroki w nowym środowisku nie były zbyt łatwe, ale zakres obowiązków nie pozwalał mi na analizowanie drobnych entajonizmów. (To było przede mną). W maju 1968 roku hotel został oddany do użytku. Miał by mały, ale urządzony jak bombonierka. W latach ubiegłych często jeździłam w teren nocowałam w hotelach, zawsze razila mnie ośrochłość i chłód hotelowych pomieszczeń. Postanowiłam sobie, że mój hotel będzie inny, w moim hotelu ludzie powinni czuć się jak w domu. Częściowo to mi się u-

dało. Miałam liczne dowody i uznanie gości. Dyrekcja w tym czasie dość wysoko oceniała moją pracę, pensję otrzymywałam dobrą i z pełną premią. Tak było do roku 1970.

Nigdy nie hoidowałam zasadzie: przez wódkę do serce szefów. Choć zdarzały się okazje do wypicia koniaku, kawy. Sprawy te traktowałam przyjaźnie i koleżeńsko. Fakt taki nigdy nie zobowiązywał żadnej ze stron do lekceważenia obowiązków lub też do podważania zaufania. Stawianie wódki, kupowanie prezentów osobom, które piastują takie lub inne stanowisko tylko dlatego, żeby utrzymać się na powierzchni — nie, to nie moja natura. Konflikt wiał w powietrzu.

Przy pomocy podpowiadaczy i usłusznych kolegów spreparowano paszkwil. Działło się to wszystko za moimi plecami. Coś niecoś przeciekało do mnie, ale ja wierząc w swoją dyrekcję, organizację partyjną, czekałam na rozmowę. Doczekałam się: wezwano mnie do Komisji Kontroli Partyjnej. Skargę wnieśli — agent restauracji przy hotelowej i jedna z pokojowych. Czego tam nie było? Wszystko co można napisać najgorszego, brakowało tylko jednego określenia k... Dowiedziałam się, że byłam oszustką (przedstawiono dokument obciążający mnie na sumę 72 tys. zł), płaćką, że wywoływałam gorszące sceny; zarzucono handel towarami zagranicznego pochodzenia; Szwedów, gości hotelowych, zabierałam do swego domu, a tym samym uszczuplałam dochody hotelu, poniewieralam pracownikami, pobierałam łapówki od prostytutki za pobyt w hotelu ze Szwedami. itp. Wszystko to popierały oświadczenia prostytutki. (Na moje szczęście daty na oświadczeniach były z okresu, kiedy przebywałam na urlopie poza Szczecinem). Dokument stwierdzający przyznanie 72 tys. zł równie nie znalazł pokrycia, ponieważ główny księgowy wbrew swej woli musiał stwierdzić, że kwota ta została w swoim czasie odprowadzona do banku.

Kiedy mi to czytano — czułam jak zamiera we mnie wszystko, co czułam do ludzi, z którymi przepracowałam 5 lat, których lubiłam i szanowałam, z którymi dzieliłam swoje smutki i radości. Nie miałam siły tłumaczyć się i bronić. Wyszłam z uczuciem jakbym została obiana pomysłami. Zdało mi się, że cuchnę. Poszłam do swego dyrektora, bo jakos nie mogłam tego zrozumieć. Dyrektor oświadczył, że owszem czytał już wcześniej ten paszkwil. Nie uważał jednak za stosowne rozmawiać ze mną, ponieważ agent oświadczył, że pisma nie przeszło do partii. Odpowiedział ta była dla mnie jeszcze bardziej niezrozumiała i przynębiająca. Co miałam robić — co robić? Byłam sama.

ciąg dalszy na str. 4

Byłam sama

ciąg dalszy ze str. 3

Za kilka dni telefonicznie zostalam wezwana do towarzysza prowadzącego moją sprawę. Rozmowa przebiegała łagodnie i spokojnie. Poczulałam się trochę lepiej. Uwierzyłam, że partia nie pozwoli mi skrzywdzić, przecież towarzysze starzy, doświadczeni, pomogą bezstronnie, tak po partyjnemu. Z rozmową z towarzyszem dowiedziałam się, jakiego zdania są o B. i spółce. Wiedza, że to rozbrajało. Mam złożyć wyjaśnienie, sprawa zostanie rozstrzygnięta. Na razie powinniśmy pracować i nie przejmować się zbytnio. W terminie ustalonym złożyłam obszernie i wyszczególniające wyjaśnienie. Towarzysz po przeczytaniu mojego wyjaśnienia rozchmurzył czoło. Miałam pracować i być dobrej myśli. Ale jak można było pracować? Podczas mojej nieobecności w pracy towarzysze z Komisji przesłuchiwali personel, który wcześniej był suto częstowany przez p. B., a dwuosobowa komisja goszczona na zapleczu po królewsku. O tych sprawach dowiedziałam się później.

I wreszcie w październiku 1970 r. odbyło się zebranie POP, na którym odczytano notatkę sporządzoną z całości sprawy. Była w takim samym duchu, jak paskwile p. B., z tym, że w podpisie było KKP. Moje wyjaśnienie nie zostało przyjęte nawet w jednym procencie. Zebrani towarzysze, ludzie, z którymi pracowałam 6 lat, a większość znała mnie od 1946 roku, milczeli, no bo kto chciałby się narazić przedstawicielom Komisji. Tylko jeden kierownik pozwolił sobie na niakt i zaprzeczył stwierdzeniu, że byłam pijacką (o innych sprawach mógł nie wiedzieć) ponieważ, jak powiedział, byłam prawie codziennie na Górecie i nigdy nie widziałam kierowniczki pijanej. W czasie trwania tej całej kampanii usiłowałam rozmawiać z sekretarzem POP — kierowniczką kadr, która zapewniała mnie o swojej lojalności. Twierdziła, że składała oświadczenie i wie doskonale, że dyrektor również stał w mojej obronie. Na zebraniu jednak wszyscy milczeli. Wniosek o udzieleniu mi nagany partyjnej i zdjęciu ze stanowiska przyjęto jednogłośnie przy dwóch wstrzymujących się (ja i kierowca). Treść notatki była drugoczą.

Siedziałam z zacienionym gardłem, czułam jak po policzkach bezwiednie spływają łzy. Nie mogłam wydusić z siebie jednego słowa. Co zresztą mogłam w takiej sytuacji powiedzieć? Byłam sama sobie winna. Tolerowałam wiele spraw. Mówię o tym teraz uważałam za niakt i brak wychowania. Do ostatniej chwili wierzyłam, że padnie choć kilka ludzkich słów pod moim adresem. Przecież byłam cenionym i dobrym pracownikiem. Otrzymałam premie i nagrody pieniężne z różnych okazji. Ciągłe przyjeżdżałam na kontrole zwierzchnicy. Wszelkie uwagi korygowano na bieżąco. Były kontrole z zewnątrz. Nigdy nie stwierdzano rażących błędów. Ze strony władzy nie padło ani jedno słowo. Byli zbyt brudni, aby zabierać głos w mojej obronie.

W kilka chwil po zebraniu wpadłam przypadkiem do księgowości. Zestawione biurka, kilka butelek koniaku, rozstawione miny. Wróciłam do dyrektora, by zechciał zobaczyć, jak się opija finał mojej sprawy. Oświadczył, że nie mam potrzeby histeryzować, właściwie nie się nie stało. Ma dla mnie dobrą robotę w dyrekcyj. Będę robić turystykę, do której mam pełne kwalifikacje. Wszystko się ułoży dobrze. Tak, cudze nie boli.

Do czasu przekazania hotelu, tj. 30 dni, przechodziłam moralne piekło. Ale byłam w sytuacji podbramkowej. Nie mogłam odejść z pracy. Miałam zobowiązania wobec własnej rodziny. Synowie wychodzili z wojska, zbliżała się zima, trzeba było ich ubrać. Miałam w kasie pożyczkę, w ORS-ie kredyt, spłacałam meble.

Tu należy się wyjaśnienie, dlaczego tak się stało. Otóż każdy prawie agent był zawodowym oszustem i kanciarzem. Te sprawy interesowały mnie o tyle, o ile w grę wchodziły usługi dla naszych hotelowych gości, lub też obsługiwało nasze imprezy. Wówczas czułam się w obowiązku zwracać szczególną uwagę na jakość i ilość serwowanych potraw i napojów. Ogólnie jednak opinia o agencji była raczej niekorzystna. Gości nr 1 byli cynkciarze i prostytutki — jak to miało być? Wydziałek na zewnątrz pisał nie muszę. Hotel miał opinię dobrą i o taką opinię zabiegałam w restauracji. Ale biznes u nas nie idzie w parze z etyką i kulturą.

W maju przyszły cztery młode pracownice PIH i przeprowadziły kontrolę w restauracji. Wcześniej inspekcje przechodziły bezboleśnie i tym razem p. B. uważał, że młode dziewczyny owinie na palcu. Ale one okazały się bardziej groźne. Sporządzili protokół pokontrolny w 12 egzemplarzach i rozeszli go do wszystkich zainteresowanych jednostek. Nie było rady. Dyrekcja otrzymała polecenie rozwiązania umowy z agentem — o przepuknięcie, znajomościach nie mogło być mowy. Agent otrzymał wypowiedzenie, a ponieważ był dojąk krową dla niektórych maluczkich i złośliwych, między innymi dla głównego księgowego, wściekłość obróciła się w moją stronę. Nie miałam jednak z tym nic wspólnego. Ale ktoś musiał zapłacić.

Lata 60-te były latami, kiedy ludzie na eksponowanych stanowiskach bardzo często uważali się za przyszłościowych „bogów”. Picie za państwowe pieniądze, przyjęcia i bankiety na państwowy rachunek były czymś powszechnym i aż obrzydliwym. Wszelkiego rodzaju kursy-konferencje, szkolenia, zgrupowania, zawody itp. itd. kończyły się ochlajaniem. Niektóre sprawy starałam się rozumieć, a nawet rozgryzać — ponieważ jak mówi przysłowie: „Nie co ludzkie nie jest nam obce”. Ponadto uważałam, że nie można z każdej ludzkiej sprawy robić afery. Wypicie wódki lub kawy w towarzystwie osób wpływowych nie upoważnia nikogo do załatwiania swoich spraw, względnie lekceważenia obowiązków. Nie, teraz nie mogłam się zbliżyć i wykorzystywać znajomości dla własnej obrony. Powoływać się na tego i owego, wywlekać czyjeś sprawy osobiste, powierzone mi w zaufaniu. Byłam jednak naiwna wierząc, że prawda zwycięży. Zostałam sama.

Złożyłam odwołanie. 14 grudnia 1970 roku stanęłam przed obliczem towarzyszy, członków KKP. Towarzysze prowadzący moją sprawę z taką zacietoczoną bronią stanowiska, że właściwie tylko stwierdzony fakt, że płaciłam na bieżąco składki partyjne, uchronił mnie od ostatecznej klęski — pozbawienia legitymacji, bez której nie wyobrażam sobie istnienia. Nikt z obecnych nie zadał mi najprostszego ludzkiego pytania: Jak to się stało, że po tylu latach upadłam tak moralnie? — Nie, takie pytanie nie padło. Wyszłam z postanowieniem odwołania się do KC. Ale 16 grudnia stały się straszne rzeczy — i moja sprawa przestała być dla mnie zupełnie ważna. Tragedia jaka rozegrała się w dniach następnych przesłoniła i oddaliła mój osobisty dramat. Byłam członkiem partii i głęboko przeżywałam tamte dni.

Wróciłam do pracy na nowe miejsce. Do dyspozycji byli czterej autokary i należało do podstaw organizować turystykę przy WOSTIW (obecnie „Pomerania”). Dużo pracy, zajęć, obowiązków, tylko atmosfera nie do zniesienia. Nie miałam serca do współpracowników, czułam się oszukana, na wszystko reagowałam agresywnie. Ponieważ pokój, w którym pracowałam przylegał do pokoju głównego księ-

ciąg dalszy na str. 5

— Czym różni się nasza poradnia od innych

placówek lecznictwa otwartego? — zastanawia

się dr Teresa Dziesko-Lebensztejn, kierownik

WOJEWÓDZKIEJ PORADNI RODZINNEJ w Białymstoku.

— Przede wszystkim tym, że leczymy

nie jedną osobę — a parnerów, ludzi pozostających

w bliskich związkach. W wypadku konfliktów

rodzinych bywa, że zapraszamy oprócz męża

i żony także teściową albo dorastające czy dorosłe

dzieci. Jeśli chcemy pomóc naszym pacjentom,

musimy brać pod uwagę układy partnerskie;

partnerzy zaś powinni wspólnie, stosując się do

naszych wskazówek i zaleceń, rozwiązywać swoje

problemy.

Aniela Łabanow

Poradnia dla dwojga

Sprawy seksualne, a z tymi przychodzi do poradni 70 proc. zgłaszających się, są ciągle jeszcze traktowane jako wstydliwe albo zgola tabu. Powszechnie w kołach znanych dyskutuje się o kamicy, koronkach nerwowych czy anginie, u dziela wzajemnych porad i wymienia uwagi o stosowanych lekach. Czy jednak kowo pogłębia frustrację o zaburzeniach seksualnych? Chyba w pikantnych anegdotach. To wszystko dodatkowo pogłębia frustrację o soby, która uważa, że zdarzyło jej się coś wyjątkowo strasznego, jednego w swoim rodzaju, że los ją bardziej upodlił, niż innych. Trzeba dopiero umiejętnego tłumaczenia, aby pozbyła się stresu, uwiaryła w „normalność” swoich dolegliwości o skuteczność leczenia.

SEX SHOP KASSE



O rodzinie prawie wszystko

Problematyka rodziny wyskakiwała w naszym kraju pełne obywatelstwo. Jest przez władze, organizacje społeczne i młodzieżowe i środki masowego przekazu. Brak jednak bynajmniej publikacji, która traktowałaby to zagadnienie całościowo, stanowiąc swego rodzaju kompilację podstawowych wiadomości na temat rodziny. To nielatte zadanie podjęło wydawnictwo „Książka i Wiedza”.

Na wydawcę czekały różne miśnizy. Zauważył on, że natrętny dyktant, wąski praktyczny albo przetrzebiony problem, zasłużona oficyna wydawnicza wysłała jednak z podjętego zadania obronną ręką. Informator „WSPÓŁCZESNA RODZINA” składa się z czterech rozdziałów, z których każdy napisał inny autor. Wstępnie omówiona jest ogólna problematyka rodziny i jej wychowawcza funkcja. Bardziej ogólny charakter ma także rozdział poświęcony miejscu rodziny w społeczeństwie.

„Wbrew wybuchającym co jakiś czas lamentom na temat kryzysu, upadku i grozących klęsk — czytamy tam — rodzina trwa i jak dotychczas, nie lepszo od niej nie udało się wymyślić. Do dziś ludzie szukają w niej oparcia i zaplecza, poczucia bezpieczeństwa i zaspokojenia podstawowych potrzeb emocjonalnych. Do dziś dobra rodzina uważana jest za najważniejszy składnik szczęścia i najwspanialsze środowisko wychowawcze. To ona, jako pierwsza instytucja wychowująca i kształcąca, jest niezastąpioną szkołą uczuć, z niej wyciąga się kapitał na całe życie, albo — mówiąc bardziej uczucie: prawidłowo ukształtowana osobowość”. Nie ma wszakże recepty na dobrą rodzinę ani jednego jej modelu —

podkreślają autorzy. Co najwyżej można mówić o pewnych rysujących się tendencjach, że np. maleje liczebność rodziny, że rola mężczyzny jako głowy domu jest mniejsza niż dawniej, a kobieta przestaje być kopciuszkiem, oszczędzając biernie na swego rycerza. Oprócz tych prawd oczywistych jest całe morze spraw dyskusyjnych, jak choćby wychowywanie jedynaków, wpływ zawodowej pracy kobiet na kształt rodziny, rola dziadków, życie samotnych matek.

Podobnie, choć bardziej nasycone poradnictwem są rozdziały poświęcone roli organizacji młodzieżowych w wychowywaniu młodego pokolenia, znaczeniu tradycji w rodzinie, problemom wiedzy i kwalifikacji, wyborowi szkoły i zawodu dla dziecka, wychowaniu i kształceniu, wyżywieniu i sprawom zdrowia. Inny nieco charakter ma rozdział „Paragrafem”, w którym analizuje miejsce takie sprawy, jak zasada trwałego małżeństwa i rodziny, małżeństwo małżeńskie, rozwód, wada rodzicielska, alimenty, ustalenie ojcostwa, przysposobienie dziecka, wychowanie w rodzinie zastępczej, aspołębienie przestępczości i demoralizacji młodzieży. Nie zabrakło także savoir vivre w opracowaniu Jana Kamyczka.

Ponieważ jest to jedyna tego rodzaju publikacja na naszym rynku wydawniczym, należy się spodziewać, że mimo wysokiego, 40-tygodniowego nakładu, szybko zniknie z księgarń. Można zatem oczekiwać, że w niedługim czasie będzie wspomniany. Warto wówczas uzupełnić ją indeksem rzeczowym, aby czytelnik nie musiał wertować 300 stron w poszukiwaniu interesującego go problemu, a także innymi praktycznymi informacjami, choćby np. o zasadach przyznawania stypendiów, wczesnych rodzinnych czy podstawowych sprawach z zakresu opieki społecznej.

JERZY ANKUDOWICZ
„Współczesna rodzina”. Informator.
Praca zbiorowa. KIW, str. 211, cena 60 zł.



— Może ja panu pomogę?

wyjaśnającą. Procentują też formy oświatowe, prowadzone przez Towarzystwo Planowania Rodziny, takie jak uniwersytety małżeńskie, studia wiedzy o małżeństwie i rodzinie, wykłady, prelekcje, a wreszcie przedmałżeńskie spotkania dla przyszłych oblubieńców. Młodzi ludzie, którzy uczęszczali na wykłady, kiedy sami nie potrafili poradzić sobie z narastającym konfliktem, wiedzą dokąd udać się po radę.

ANDROLOGIA W SŁUŻBIE RODZINY

Przychodzą do poradni w kilka lat po ślubie. Są już urzędnicy, mają mieszkania, nierzadko samochód. Ale to wszystko nie wystarcza im do szczęścia.

— Panie doktorze, nie mogę mieć dzieci...

Te słowa padają prawie zawsze z ust kobiety. Tradycyjnie jej to przypisuje się „winę” za bezdzietność i ona zgłasza się do lekarza. Tymczasem medycyna stwierdza, że w połowie przypadków niepełności w małżeństwie przyczyna leży po stronie mężczyzny. Dr med. Andrzej Kuć, który zajmuje się leczeniem niepełności, zwykle też proponuje przyjść do poradni i poddanie się badaniom w pierwszej kolejności mężom. W pierwszej kolejności, gdyż w wypadku mężczyzny są one znacznie prostsze niż u kobiet. Dopiero gdy badania nie wykażą „winy” męża, kieruje się na nie żonę.

Niepełność jest leczona; i kobiet od dawna, a coraz

częściej u mężczyzn. W sukurs przychodzi pacjentom andrologia, gałąź medycyny coraz popularniejsza, chociaż w naszym kraju mało znana. Ma na to niewątpliwie wpływ wcześnie rozpoczynające się życie płciowe przez chłopców, lekceważenie — zdawałoby się — blawych — stanów zapalnych, noszenie zbyt obcisłych, elastycznych spodni.

Dr Kuć, adiunkt w klinice ginekologii i położnictwa septycznego Instytutu Położnictwa Akademii Medycznej w Białymstoku, ginekolog zajmujący się problemami andrologii, ma także pacjentów, którzy przed zrobieniem kroku na ślubny kobieriec przychodzą po radę. Mili choroby weneryczne, jakies stany zapalne, a chociażby zwykła świnka — czy nie przeszkodzi im to w małżeństwie, ojcostwie? Takie wizyty świadczą o poważnym podejściu młodych ludzi do życia we dwoje, do rodziny. Na ogół też wszystko jest w porządku, jeśli nie — następuje leczenie.

Spory procent leczonych przypadków niepełności kończy się sukcesem. Na świat przychodzi upragnione dziecko. A jeśli nie? Wspólnie z lekarzem bywają podejmowane decyzje o dalszym losie małżeństwa, rodziny. Padają pytania o adopcję.

MAŁŻEŃSTWO A RADOŚĆ ŻYCIA

Są konflikty, które wielu ludziom wydobyły się z kłopotliwych uśmiechem nie-

dowierzenia lub retorycznym pytaniem: „Było to o co kłopot kruszyć?” Tymczasem dla tych dwojga jest to kwestia być albo nie być małżeństwa, losu dziecka. Tak też traktuje je dr Jan Szafraniec, psychiatra-psycholog w poradni rodzinnej. Chodzi o zwykłe o nabytą drobne sprawy. On uwielbia jazz i wydaje pieniądze na drogę, komiksowe płyty, ona uważa, że potrzebniejsze są meble. Ona lubi chodzić do kawiarni, na basen i dyskotekę, on ma o niej pretensje, że nie sprząta mieszkania i nie gotuje mu obiadów. Maż od pory i żona od dyskoteki twierdzą, że małżeństwo zabija im radość życia. Za tym twierdzeniem kryje się nie dojrzałość do małżeństwa, niespełnione oczekiwania w stosunku do partnerów.

W ciągu lat z pojedynczych drobnych spraw rodzi się lawina. Narasta niechęć, nieważność, jak wybrnąć z tego ślepego zawiątku? Niekiedy, przed podjęciem sprawy rozwodowej, poradnia staje się ostatnią deską ratunku. Nie zdarzyło się jednak, aby sąd rozpatrujący sprawę rozwodową czy opiekuńczą, skorzystał z orzeczenia poradni. W innych miastach bywa to praktykowane, a nawet przyjęte jako zasada.

Jedną z przyczyn konfliktów w małżeństwie jest nieumiejętność porozumiewania się. Dwoje ludzi nie rozmawia o sprawach dla nich istotnych. Nie mają takiego zwyczaju, nie wypadają, wstyd. Awantury wybuchają wcale nie o to, o co naprawdę chodzi. Mówią, zaczynają dopiero u psychologa, w poradni. I wtedy — zaskoczenie i zdumienie: te sprawy można naprawdę przedyskutować? Czemu nie zrobiliśmy tego wcześniej?



Żyć na kocią łapę — tym bardzo negatywnym epitetem obdarzono pary w pierwszym rzędzie żyjące bez ślubu kościelnego. Rzecz

jasna, bowiem ów poniżający w oczach opinii publicznej osąd mo-

ralny wypływał z religijnego obskurantyzmu przede wszystkim. Po-

wolne wypadanie z codziennego języka cytowanego określenia

świadczy wymownie o przemianach zachodzących w ocenach tego

i podobnych zjawisk. Bo samo zjawisko pozostawiania z sobą ludzi

w związkach nieformalnych nie zanikło. Pewne przesłanki świadczą

mogą nawet o tym, iż ma miejsce proces odwrotny.

Na kocią łapę

Jeśli chodzi o nasz kraj, to, niestety, oficjalnych publikacji, które mogłyby być tego potwierdzeniem. W statystykach można jedynie dostrzec się informację, że bez formalnego zawarcia związku małżeńskiego żyje co setna para. A zatem jeśli liczyć — nawet tylko dwie osoby — bo przecież parę takie mogą mieć dzieci — czyli to wcale spora, dwustutysięczna grupa ludzi. Potwierdzeniem słuszności tezy o rozwoju omawianego zjawiska służyć więc mogą jedne badania prowadzone w innych krajach. Mimo granic i odmiennych języków jesteśmy — przynajmniej jeśli o życie in-

tymne chodzi — przecież bardzo podobni.

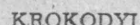
W Szwecji na przykład na 100 par bez zalegalizowania współżycia mieszka razem mniej więcej 12-13 par. Znamienne przy tym, że ten rodzaj związku preferuje blisko połowa par złożonych z osób między 20 a 30 rokiem życia. A że jednocześnie w ostatnich latach wzrósł odsetek małżeństw spadł w kraju naszych nadbałtyckich sąsiadów niemal o połowę, oczywistym jest — zdaniem badaczy — że związek nieformalny musi być wśród młodych żyłką wyraźną nie na popularność. Bowiem w okresie życia między dwudziestką a trzydziestką zwykło

wstępować tradycyjnie już na ślubny kobieriec najwięcej par. Podobny trend obserwujemy jest w Danii, gdzie ocenia się, iż bez ślubu żyje ok. 10 proc. par, w Finlandii 5-7 proc. i Norwegii 2-3 proc. Różnie wyrażnie liczba zwolenników wspólnego zamieszkiwania bez instytucjonalnego błogosławieństwa także w Stanach Zjednoczonych, Holandii i niektórych innych krajach.

W krajach skandynawskich pewną rolę odgrywa niewątpliwie wpływ tradycji. Obyczaj obcowania z sobą narze-

CAF — Gawalkiewicz

Niektórzy z nich dowodzą, że zakup kredytowy stanowi dla ludzkości niezamierzony prawdziwie błogi głosławieństwo jako doskonała forma kapitału. Ceny brylantów i innych kamieni szlachetnych drojeją bowiem ostatnio o 15-20 proc. rocznie. L'Humanite Dimanche stwierdza: „...Nie watpimy, że ta nowojacja ogromnie ucieszyła całą armię bezrobotnych i tych, którzy ledwo wiążą koniec z końcem”.



wy z pięknymi, barwnymi plamami na skrzydłach, 29) marka lodówek, 30) część ogniwa galwanicznego, 31) zespół, drużyna, 32) dzida, pika, 33) imię Sadata, 34) wyspa na Bałtyku, 35) okorowa

Wśród czytelników, którzy terminie 6-dniowym nadesłała prawdziwe rozwiązanie, złożyliśmy premię bonu oszczędności PKO wartości 500 zł oraz pełną nagrodę książkową. Na kopercie konkursowej podaliśmy następującą informację: „Wymagamy, abyś zmienił się ostatek: „Książówka PKO” na str. 264”.

NAGRODY

Hasło z krzyżówki PKO zamieszczaliśmy w „Gazecie” nr 252 z 14 października 1980 r. Wymagamy, abyś zmienił się ostatek: „Książówka PKO” na str. 264. Wymagamy, abyś zmienił się ostatek: „Książówka PKO” na str. 264. Wymagamy, abyś zmienił się ostatek: „Książówka PKO” na str. 264.

Za prawidłowe rozwiązanie tej krzyżówki główna nagroda w postaci premii bonu oszczędności PKO.

przeprowadził obywateli i ich rodziny do miejscowości w Zambrowie, zamieszkał z nimi, a następnie wyjechał do Magazynowa 13 m. 14. Książki wydane przez niego zostały przekazane na jego własność. W tym czasie przeżywał trudne chwile życia, ponieważ jego żona zmarła. W tym czasie przeżywał trudne chwile życia, ponieważ jego żona zmarła.

Nagrody prześlęmy pocztą.



— Znow zacznie opowiadać swe rybackie historie...
SPORTING LIFE (W. L., L.)

Czarni wypasają owce w stepach Turkiestanskim i Suzackim będą mogli bez przeszkód oglądać telewizję. W pustynne obszary Muiun-kum wyrusza specjalne brygady usług radiotelewizyjnych, które będą naprawiać pasterzom uszkodzone odbiorniki. Akcją kieruje zjednoczenie usług dla ludności w Czirkencie.

Wilk — ideowiec:
wypas prowadzi owiec

POKRZEPIENIE

Nieraz święcona woda
diabłu otuchy doda

**O PEWNEJ
KARIERZE**

Światłostewek
Przyodziewek

ZGUBY

Zgubiono atestat
na majestat

STAŻ

Wiele na stażu
kamufażu

W obwodzie witebskim Matka o nazwisku Zasiużonaja, 40 lat, jest zatrudniona w przedsiębiorstwie, gdzie prowadzi działkę. Ma 10 dzieci, z których 10 jest w wieku szkolnym. Matka jest żoną zmarłego, który był żołnierzem Armii Czerwonej. Matka jest w wieku 40 lat, ma 10 dzieci, z których 10 jest w wieku szkolnym. Matka jest żoną zmarłego, który był żołnierzem Armii Czerwonej.

obsługiwanych przez 29,2 taksówkarzy. W ciągu jednego tylko doby z usług moskiewskiego MPT korzysta 350 tys. pasażerów. Obecnie, po poniesieniu cen za przejazd taksówkowe, średnia opłata kurs wynosi 2—2,5 rubla.

Naukowcy z Instytutu Rad
technik i Elektroniki Akade
Nauk ZSRR przeprowadził w
cząstkach br. radiowy świad
planecie Wenus. Za pomocą
doteleskopu przeszedł on ró
nikowe rejonu planety. Zasto
wanie fal (długości 39 cm) pe
woltio wykrył obiekty o wymi
rach 1–2 km. Udało się odw
rzyć niektóre elementy rzeź
powierzchni planety Wenus. D
konane pomiary umożliwiły
określenie szybkości obrotu
wna wokół osi.

lowyła cenach znaczków pocztowych, sprzedawanych na aukcji. Przypomnę o brzytwej goliźnie, Czerwonym Matusiu czy też naszym Sześcioboku Tislowitwa. Oczywiście, na kupno tych raritasów filatelistów mogą sobie pozwolić bardzo zasobni zbieracze. Często nabywani tych rzadkich znaczków są milionierzy, nie mający nie wspólnie z filatelistyką. Po prostu lokuja oni w znaczkach przeważnie klasycznych i uniikalnych, swoje kapitały.

Ale musimy też pamiętać, że transakcje aukcyjne okryte są pewną tajemniczością. Towarzyśzom różnie naderżane naderżane, mające na celu między innymi wywindowanie w górę cen przedmiotów kolekcjonerskich: obrazów, rzeźb, porcelany, starożytności, znaczków pocztowych. Służą temu też systemy secret reserve (tajnej rezerwy).

Na czym on polega? Pisze o nim Alfred Schueler w "Towarzystwie Zelfina" (artykuł ten przedrukowało nas "Forum") na przykładzie firmy Parke Bernet, specjalizującej się w sprzedaży dzieł sztuki. "Zbieracz sztuki musi być gotów zapłacić więcej, niż cena, którą wyznaczył pracodawca artysty. Chciałby, aby jego dzieła jeszcze bardziej podrożały. Dale jedno z dzieł na aukcji nie doprowadza do takiej aukcji, ponieważ cena, znacznie wyższa w porównaniu z obiektywnymi cenami rynkowymi. Nie osiąga ono w czasie licytacji najmniejszego limitu, właściciel płacił swoje pięć procent prowizji, ale osiągnął cenę fikcyjną, która robi wrażenie w handlu."

Przykładowo wyglądało to tak: najmniejszy ustalony limit sprzedaży obrazu wynosił 100 tys. dolarów. Na sali aukcyjnej, Towarzystwo Zelfina wynosiło 90 tys. dolarów. Prowadzący aukcję nie sprzedaje obrazu, lecz sam oferuje 95 tys. dolarów. I za tę cenę zrzeka się samego obraz. Oczywiście, po aukcji obraz powraca do zbieracza lub właściciela galerii.

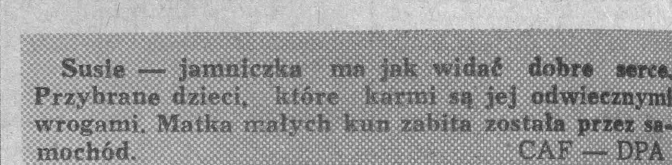
Czy podobne transakcje zdarzają się również na aukcjach filatelistycznych? Tak, z pewnością źródło winy, że w ten sposób został kiedyś sprzedany Sześciobok Tislowitwa (tłok z numerem kolektorskim z 1890 roku).

Historia tego sześcioboku jest zresztą bardzo ciekawa. Jego dawnym właścicielem był znany polski zbieracz — Józef Tislowitw. W czasie wojny sześciobok, w okolicznościach do dziś nie ustalonych, trafił do USA. Mimo usilnych starań J. Tislowitwa i jego przyjaciół, wojnie nie udało się mu odzyskać tego cennego rarytasu.

Otoż obecny właściciel sześcioboku wystawił go na aukcję w Licytacji w Nowym Jorku. Następnie sam nabył po wygórowanym cenie. Przysięgłaby, prawdopodobnie dwa cele: po pierwsze — chciał się zorientować, jaka cena na aukcji osiągnie sześciobok, po drugie — maksymalnie cenę te wystawił. I oba cele udało mu się osiągnąć.

ROLEKCIJONER

W jednej z sal aukcyjnych Paryża wystawione zostały do sprzedaży pamiątki związane z pobytom cesarza Francuzów na Wyspie Św. Heleny oraz pochodzące z kolekcji opata Vignona ostatniego kapelana Napoleona.



W Monachium odbył się w tych dniach I Międzynarodowy Festiwal Wolnego Teatru. Na inaugurację propagandowej imprezy, w której „czysta sztuka” posłużyła do wygrania niezbyt czystych politycznych celów, zaproszono m. in. słynny „Living Theatre” — miłośnicy i ambimbi zespołu, który stworzył ciekawą scenę eksperymentalną, otwartą dla artystycznego nowatorstwa i postępowych treści. Goście wystąpili na festiwalu ze spektaklem dobitnie wyrażającym ich programowe credo: „Rezygnacja ze stosowania przemocy jest dla ludzkości jedyną szansą przeżycia”.

Widowisko miało taką frekwencję, że trzeba było wielokrotnie powtarzać. Alieci na przedstawnim przedstawieniu wkroczyli na scenę przedstawiciele bawarskiej prokuratury w asyście policjantów i — zaarrestowali kierownika zespołu. Wytoczono ciężkie zarzuty: „...wykroczenie przeciw zdrowym odczuciom narodu niemieckiego oraz przeciw podstawom ustrojuwim państwa nieugięte stojącego na straży praworządności i demokratycznej wolności”. Po ostrym wielogodzinym przesłuchaniu czujna policja RFN-owska zgodziła się na kaucję wypuścić „groźnego wytworotwa”, lecz pod warunkiem, iż niebezpieczni goście „niezwłocznie opuszczą nasz wolny kraj”, szkalowany za granicą jako państwo policyjne*.

Banki włoskie z potrzeby uczyniły interes, Ponieważ już od lat Włoch cierpią na chroniczny deficyt bilanu, komplikujący codzienne życie, banki zaczęły na ich papierze emitować banknoty zastępujące wartości 50 do 250 lirów. Ten z konieczności tolerowany „ersatz-pieniądz” posiada jednak niezmienne korzystną (dla banków) wartość, bo po kilku miesiącach intensywnego zrywania papieru, banknoty te nie straciły zupełnie po prostu je wrzucają. Jedynie ostatnich dwóch latach wprowadzono w bież 450 milionów takich papierków i przez zaprogramowane ich zużycie banki zyskiwały na czysto około 8 milionów dolarów.

Amerykanie, zalewani potokiem ogłoszeń w programach telewizyjnych, nie będą mieli możliwości uniknięcia tej „przemijomości” również w kinach. W tych dniach bowiem wchodzi w życie zarządzenie, zezwalające na 3-minutowe prelekcje reklamowe przed rozpoczęciem każdego seansu. Zarządzenie nie obowiązywać będzie w kinach drugiej i trzeciej kategorii i ma na celu poprawę budżetu tych kin, nadzarpniętego coraz wyższymi kosztami administracyjnymi i podrożeniem filmów.

Kiedy ogląda się pokazy odzieży dzieciństwa, obrazujące linie mody aż do roku 1979 włącznie, mimo woli nasuwa się myśl, że o daleki przemysł lekkiego nadzież naprawdę lekkie lata. A co za tym idzie i my będziemy mieli mnóstwo kłopotów przynajmniej ze zna-

złenieli nasuwać na naszą sylwetkę odzież. Wszystkie to bowiem luzne, nawet nieco wiotkie, dość długie i (jesli tylko właściciel kupował najmłodszego syna) nasycone kolorami i wzorami. Wśród nich było kilka troche obszerniejsze, dla innych zaś nieco mniej. Kobiety pamiętały, które zawiesz trzela się pokrzywać, które — ładne, nowoczesne modele, będą mogły być w pełni użytkafakcjonowane — proponowane kimś, a pewnym, przebiegłym swetry pasować będą i na nie.

Tymczasem jest też najmłodszego odzieży jeszcze niewiele. Swetry takie, jak trzeba, są przeważnie wykonywane przez spółdzielnie, które mają w swoich warsztatach produkcyjnych, a więc i

złoty pokolenie nie było. Komu figura pozwalała kupować koszulę dzianką? za kurtkę „major” w warszawskim Juniorze, a młodzieźce płaszczki w „Corze” czy w „Kosmosie”? W tym czasie tymowania się metryką. Modele młodzieźce szły za z zasady w szerszych rozmiarach — chociaż niekiedy wstawiano i „młodzieźce” — są one często rozcięte, maszyniennie, niż ich matki urodzone z wychowaniem w warunkach wojennych. I czasami na matki lepiej pasują.

Ze włości podziły odzieżowe są sztuczne wykładać dobrać rolę kolekcja warszawskiej „Sawy” reklamowana jako odzież dla pań po trzydziestce. Klebiący się tłum dziewcząt był — i nie było — nie kobiet dojrzałych, bo amato-

rystyczne przebieganie i te przeszedzone w awangardowe przykłady spodnie „papierosy” pewno lepiej wyglądała dół smukłej dziewczynki. Ci, u fa, mam pewnie wapijli

Młodzieźce są też na pewno marszczące, kwieciste, są — w których — wstawiano kwiatki, marszczono — przy pierota, kwiaty wełsach i przy kapeluszach, — kienie nabiałe — kienie, różne zęby, rondo, płótek, skóry, drzewa noszą szły w kształcie obróżki. Między sobą odzież nie, smagły, — wstawiano — wstawiano, czarnecki, wciśnięte a brwi. W sumie nie tak znów